

O. Andrzej Wielgus, C.Ss.R.
(1946 - 1995)

Od tragicznej śmierci O. Andrzeja Wielgus upłynęło już kilka lat, ale wciąż trudno jest oswoić się z myślą, że nie ma go wśród nas. Odszedł wielki pasjonat Bożego Królestwa.

Dynamiczny w każdej sprawie, która odnosiła się do Kościoła i Zgromadzenia Redemptorystów. Pełen gotowych koncepcji od teologii zgromadzenia, poprzez formację i wizję zarządu, aż po misje krajowe i zagraniczne. Na te tematy można było znaleźć w nim partnera do dialogów, polemistę i żarliwego wizjonera. Patrzył na Kościół, a w nim redemptorystowski apostołat, przez Biblię, która stała się dla niego księgą życia i księgą wiedzy. Księga, z której czytał teraźniejszość, dzięki której spoglądał w przyszłość. Apokalipsę, której poświęcił wiele owocnych lat swego życia widział jako list Chrystusa Uwielbionego pisany do Kościoła, także do Zgromadzenia i siebie samego.

Zwracał uwagę na wydarzenia i pracę, a także na wytrwałość w przeciwnościach, która według tej księgi rodzi owoce i będzie pierwsza nagradzana. Dzielił się zdobytą wiedzą, należy mu się pochwała Księgi Mądrości: „Mądrość poznałem, bez zazdrości przekazuję i nie chowam dla siebie jej bogactwa” (Mdr 7,13). Rzeczywiście, chciał natychmiast podzielić się tym do czego doszedł, co wystudiował.

Nieraz pod pozorem małego „intermezzo” w zajęciach przychodził na parę słów. W zanadru miał coś nowego, co mogło ubogacić rozmowę. Ta pasja go pozytywnie wyniszczała. Musiał roztropnie podchodzić do swoich studiów, racjonalnie rozplanować rozkład dnia, gdy pisał prace doktorską. W zapisie swoich syntez szedł małymi krokami. Nie mógł niczego przyspieszyć. Na wszystko musiał mieć czas, jakby myśl dojrzewała do ujęcia w słowo. Wszelki pośpiech wywoływały stres i zmęczenie.

Powyzsza konieczność miała swoje dobre strony. Nigdy nie miał problemu z kazaniem, czy wykładami. Pasjonowały go sympozja, czy rekolekcje, w których rozważano jedno zagadnienie. Zawsze był gotów do dyskusji, w której coś uzasadniał Biblią.

Zaraz po studiach z obowiązku był nowatorski. Czasem narzucał swoje widzenie. Nie czekał, aż ono dojrzeje, zjedna sobie sympatyków.

Z natury był idealistą. Mówił o sobie, że w rzeczywistości nieprzewidzianej i nadzwyczajnej czuł się zdecydowanie lepiej. Pociągały go sprawy wielkie. Bywało, że w porządkowaniu swojego świata nie zauważał małych rzeczy. Czuł się spadkobiercą wielkiego wizjonera i, jak on, biblisty - O. Karola Winiarskiego (1910-1972). Czasem można to było usłyszeć w tonacji wypowiedzanego słowa, rozłożonym w zdaniu akcencie, czy gestach.

Pasji jego życia można już się domyślać. Było ich kilka i wzajemnie się uzupełniały dostarczając sobie racji, barwy i piękna. Nie będziemy ich klasyfikować, raczej wymienimy je obok siebie tak, jak w nim harmonijnie współistniały.

Wydaje się, że dobrze będzie zacząć od Zgromadzenia. To dzięki Zgromadzeniu O. Andrzej wszedł w piękno Kościoła i swojego powołania. W Zgromadzeniu docenił najpierw jego misyjny charyzmat. Dobrze poznał historię i tradycję Zgromadzenia. Mógł to uczynić w szerszym wymiarze, gdyż przez osiem lat mieszkał w Rzymie, gdzie Zgromadzenie w XVIII wieku zaistniało i swoim dynamizmem zadziwiło Kościół Italii, a potem świata.

Podczas studiów seminaryjnych O. Andrzej otworzył się na misje zagraniczne. Spotykał misjonarzy z Ameryki Południowej, rozmawiał z nimi i przygotowywał się do ewentualnej pracy misyjnej. Będąc jeszcze studentem w 1970 r. opublikował w „Naszyc Wiadomościach” artykuł o misjach polskiej prowincji w Brazylii. Wykazał się w nim godną podziwu znajomością misji redemptorystowskich w tej części świata.

Wcześniej wspomnianą jego pasją była Biblia. O. Karol Winiarski miał zwyczaj wyławiania talentów i stopniowego przygotowywania ich w seminarium do przyszłych studiów biblijnych w Rzymie. Dotyczyło to przede wszystkim przygotowania językowego. Jednym z ostatnich wybrańców był O. Andrzej. Zgodził się na to będąc przekonany, że studium Biblii w żaden sposób nie przekreśli jego misyjnych planów. Ta intuicja nie zawiodła go.

Jako jeden z autorów zmian czynnie uczestniczył w przebudowie formacji w naszym Wyższym Seminarium Duchownym w Tuchowie. Młodzi profesorowie chcieli realizować nowe koncepcje i wizje. Będąc przekonany o swojej racji często wobec oponentów był nader stanowczy. Po latach stwierdził, że idee były słuszne, a metody dialogu zbyt kateryczne.

Będąc magistrem nowicjatu miał szansę swoje ideały konfrontować z konkretnymi ludźmi, za których formację duchową i ludzką odpowiadał. Z całą pewnością podkreślić trzeba, że jako magister nowicjatu był mistrzem bardzo znaczącym w historii polskiej prowincji redemptorystów. Wrażliwość religijna, naturalne pragnienie modlitwy współtworzyły w nim osobowość optymistyczną i radosną. Zawsze był uśmiechnięty potrafił przejść do rozmowy bez uprzedzeń, czy zasłyszanej o kimś negatywnej opinii. Ta cecha zjednywała mu przyjaciół i szacunek. Był oczekiwanym we wspólnocie. Czasem ostro wypowiedziany sąd nie psuł dobrych relacji, gdyż w nim nie bronił siebie, ale z racji oczywistych zbyt szybko chciał narzucić wniosek.

Poza funkcją magistra nowicjatu nie był wcześniej przełożonym. Nie spieszył się do takich urzędów. Chociaż w 1984 roku zgodził się już przyjąć rektorstwo w Tuchowie. Odetchnął jednak, gdy zrezygnowano z planu tej nominacji. Natomiast on sam mógłby się dobrze poczuć sprawując urząd prowincjała. Gdy wyjeżdżał do Argentyny wielu współbraci mówiło z przekonaniem, że wkrótce stanie na czele Wiceprowincji Resistencia. Tak się stało. Dwukrotnie powierzono mu ten urząd.

O. Andrzeja Wielgusa poznałem wieczorem 16 sierpnia 1966. Razem ze swoimi współbraćmi przyjechał z Braniewa po nowicjacie na Lubaszową, gdzie spędzaliśmy wakacje. Niewysoki blondyn, raczej barczysty, uśmiechnięty z szeroko otwartymi oczyma. Na wszystkich zrobił korzystne wrażenie.

Przychodząc do Zgromadzenia przedstawił krótki i schematyczny życiorys. Z jego zapisu niewiele można powiedzieć o jego motywacjach i ostatecznych decyzjach. Jedno jest pewne, że Tuchowskie Sanktuarium Matki Bożej, a także Wyższe Seminarium Duchowne od wielu lat było znane w parafii jego pochodzenia.

Rodzina

Wielgusowie to dawny ród chłopski. Trzeba zajrzeć w księgi parafialne, by zobaczyć, którego wieku sięgają korzeniami. Z życia parafialnego wiemy, że byli pobożni, bo w Braciejowej i Gumniskach żyją tylko tacy ludzie. Z bardzo dawna mieli pielgrzymkowe tradycje, szli w lipcu do Tuchowa na Wielki Odpust i przede wszystkim śpiewali. Nikt im nie dorównywał. Pobożnie przesuwali się na kolanach wokół Cudownego Obrazu Matki Bożej. Dostojnie stali na sumie, rzucili grosz na ofiarę, posilili się i wracali także pieszo i ze śpiewem do domu.

Wydaje się, że ojciec Andrzeja nie pochodził z Braciejowej. Nazwiska Wielgusów spotyka się w okolicznych miejscowościach. Jeden to niedaleki krewny, Wojciech Wielgus brał czynny udział w pilźnieńskiej rabacji w 1846 r. Będąc wcześniej w armii austriackiej dowodził chłopami, którzy atakowali dwory w Zasowej, Słotowej, Nagoszynie, Gumniskach, Latoszynie i innych miejscowościach. Sam Wojciech „bronił” cesarza przed panami przy dworze w Głobikowie (por. M. Morawczyński, *Rzeź 1846*, Tarnów 1992).

Rodzinny dom z całym swym bogactwem kształtował osobowość Andrzeja. Stał na małym wzgórzu, z którego widać było kościół i szkołę. Obok uwijała się rzeka, nad brzegiem której osadzono szosę. Z matką był jakby mocniej związany. Wszystkich w domu zaskoczyła jej choroba. Przeszła przez szpitale Dębicy i Tarnowa. Potem położono ją w Krakowie na Kopernika. Tutaj przy niej spotkałem zatroskanego Andrzeja. Szukał bardziej wątej nadziei, że chora może powrócić do zdrowia. Stało się jednak inaczej. Zmarła w 1984 roku.

Ta śmierć nadwątlila go. Potem zachorował młodszy brat Stanisław. Miał 30 lat. Podobnie jak u matki rozpoznano nowotwór. Wiadomość zmartwiła wszystkich. Andrzej był już w Rzymie. Widziałem jak zareagował. Czekał co napiszą z domu. Potem pojechał na pogrzeb. Czasem wracaliśmy do tych śmierci. Niby z humorem, z uśmiechem wtrącał, że on też nie dożyje pięćdziesiątki.

Nie wiedziałem co o tym myśleć. Tu doktorat na biurku, człowiek tak religijnie wrażliwy, planował prace misyjne, a nie chciał czekać do pięćdziesiątki.

Seminarium

Wracajmy więc do początku. O. Andrzej Wielgus urodził się 22 listopada 1946 w Barcicach, w diecezji tarnowskiej. Pisząc swój życiorys w 18 oku życia wykorzystał zaledwie pół strony.

Od 1953 roku zaczął szkołę podstawową. W 1960 roku rozpoczął naukę w dębickim Technikum Mechanicznym. Był jednym z wielu absolwentów szkół technicznych, którzy nie umieli się posługiwać tak mało skomplikowanym narzędziem jakim jest „klucz francuski”.

Technikum ukończył w 1965 roku i zgłosił się do Zgromadzenia Redemptorystów. Został przyjęty i w Braniewie rozpoczął nowicjat pod kierunkiem O. Antoniego Bazieliha. Następnie 15 sierpnia 1966 roku złożył pierwsze śluby zakonne. Po krótkich wakacjach rozpoczął studia filozoficzne w Tuchowie. Nie ustraszył się nawet O. Witolda Czaplińskiego (1909-1993), który z zamkniętymi oczyma snuł swoje abstrakcje na temat istoty, istnienia, bytu, substancji i przypadłości.

Studiując teologię przygotowywał się do studiów biblijnych. Nauką zajmował się rozsądnie. Miły we wspólnocie, głęboko religijny, chętny do pomocy. W seminarium pełnił urząd infirmarza. O. Kazimierz Zabawa będąc przez jakiś czas prefektem mówił, że cechował go nawet pewien stoicyzm wobec oczekującego na lekarstwo współbrata.

Niosąc mu jakąś pigułkę potrzebną od zaraz, br. Andrzej mógł się z kimś parę razy zatrzymać po drodze do infirmerii i zabawić rozmową. Za jego kadencji w seminarium - trzeba przyznać - nie zanotowano żadnego zgonu, a nawet powikłań chorobowych.

Studia, wykłady

1 czerwca 1972 roku w Tuchowie z rąk Ks. Bpa Jerzego Ablewicza przyjął święcenia kapłańskie. Prymicyje odprawił w Braciejowej, rodzinnej parafii. Kazanie prymicyjne głosił O. Stanisław Stańczyk, senior.

Tegoż samego roku przez Wiedeń udał się do Rzymu, by na Biblicum rozpocząć dawno oczekiwane studia. Zainteresował się Apokalipsą, a wykłady z tej dziedziny prowadził prof. Ugo Vanni, SJ. Po trzech latach otrzymał Licencjat Nauk Biblijnych. Wtedy w naszym Seminarium w Tuchowie oczekiwano na wykładowcę Pisma św. O. Prowincjał Stanisław Podgórski zaproponował mu wykłady. Po roku doktoranckim O. Andrzej wrócił do Polski w 1975 roku.

Miał wyklądać tylko przez trzy lata. Jednak jego zaangażowanie na wielu polach, zwłaszcza w formacji, sprawiło, że wrócił do Rzymu dopiero po 9 latach. W Tuchowie wykładał Nowy Testament. Wykłady pełne uroku, teologii i praktycznych odniesień. Starał się także przekazać dużo z historii i teologii Zgromadzenia. Jako owoc tych wykładów zostały trzy duże opracowania: Ewangelie, Dzieje Apostolskie, Apokalipsa.

W 1978 roku został prefektem postulatu w Tuchowie. W 1979 roku został mianowany magistrem nowicjatu w Lubaszowej. Po upływie trzech lat prowincjał ponowił nominację. Jednak w styczniu 1983 roku napisał prośbę, list do Prowincjała, w którym bardzo odpowiedzialnie i na serio poprosił o wyjazd na misje do Brazylii lub Argentyny.

Powrót do Rzymu i misje

Tymczasem przyjaciele namawiali go, by wrócił do rozpoczętego doktoratu i wyjechał do Rzymu. Gdziekolwiek by nie pracował to jego studia będą znakomita zaliczką. Szczególnie nie szczędził mu zachęt O. Leszek Gajda. Prowincjał

przychylił się do tej sugestii, zwłaszcza, że popierali ją profesorowie z Tuchowa, skierował zatem O. Andrzeja na dokończenie doktoratu.

Po upływie dwóch lat O. Andrzej poinformował prowincjała o stanie swojej pracy naukowej. Oddał już część pracy do wglądu profesorowi Ugo Vanni. Równocześnie przedstawił pewne obawy o rychłe ukończenie pracy. Zaczęło mu dokuczać zmęczenie, odczuwał pewną presję psychiczną. Zauważył u siebie jakąś nerwowość i niedomagania fizyczne. Nawet wspominał o swoim wieku, ukończył właśnie 40 lat.

W tym właśnie czasie Wiceprowincja w Argentynie planowała wreszcie otworzyć własne Wyższe Seminarium Duchowne, a także cały system powołaniowo-formacyjny. Do realizacji tak ambitnych planów potrzeba było przygotowanych ludzi.

Jeśli według Zarządu Prowincji nadszedł na to obecnie czas i ja jestem sensownym kandydatem do wypełnienia tej misji w obecnej chwili, to z mojej strony (nie bacząc na moje osiągnięcia doktorskie) jestem gotów podjąć się tej misji. Myślę, że dobrze będzie zdecydować się na 4-5 lat, zgodnie z sugestią O. Prowincjała. Czas bowiem jest dobrym egzaminatorem i doradcą człowieka. On wskaże właściwe rozwiązania.

Tak pisał do Prowincjała O. A. Rębacza w kwietniu 1986 roku. Tymczasem praca w Rzymie posuwała się do przodu. O. Andrzej miał nadzieję, że ja ukończę przed wyjazdem, albo na tyle zamknie, że będzie można przyjechać do Rzymu na jej obronę. Ostateczną decyzję pomógł mu podjąć list O. Prowincjała, w którym donosił:

Trzeba przyznać, że Wiceprowincja w Argentynie podjęła ostatnio dość energiczne starania celem zdobycia odpowiedniego lokum dla Studentatu w La Plata. Mają już – tak mi pisze O. Wyczyński – propozycję miejscowego biskupa, by w tym mieście objęli kaplicę, przy niej dom i 4 ha terenu... Sądzę, że po 50 latach naszej obecności w Argentynie załatwienie tej sprawy jest w czymś z kategorii „być, albo nie być” dla Wiceprowincji.

Tymczasem w 1987 roku zmienił się zarząd prowincji, a nowy Prowincjał O. Stanisław Kuczek radził O. Wielgusowi, by ten swoje zaangażowanie w Argentynie określił czasowo, najlepiej w okresie 5 lat.

Wyjazd do Argentyny nastąpił jesienią 1987 roku. Po przybyciu do La Plata, O. Wielgus zabrał się od razu do wyznaczonego zadania. W listach pisał o swojej fascynacji Argentyną, współbraćmi i pracą. W tym samym czasie z Polski przyjechał jeszcze trzech studentów, by z Argentyńczykami stanowić podstawową grupę seminarzystów.

W bardzo pięknym terenie, leżącym poza miastem. O. Józef Słaby wybudował bardzo oryginalne seminarium z dużą kaplicą otwierającą dwa skrzydła budynków. Oczywiście problemów nie brakowało. Brak wychowawców, niewykończone budynki, brak funduszy.

Niemniej seminarium zafunkcjonowało. Studenci codziennie dojeżdżali do seminarium diecezjalnego w centrum miasta. Po roku także O. Wielgusa zaangażowano z pracami zleconymi.

Wiceprowincja kontynuowała dzieło misji, ale także zorganizowano duszpasterstwo młodzieży i powołań. Do tej pracy wyznaczono kilku Ojców, a O. Wielgus został przełożonym seminarium.

Upragnione dzieło Wiceprowincji przy wysiłku wszystkich Ojców stało się faktem. O. Andrzej w tej sytuacji układał plany na przyszłość i konfrontował je z Prowincjałem. Prosił o kleryków z Polski, a nawet profesorów. Z pomocą przyszedł O. J. Cygnar, który w trudnym czasie początków oddał nieocenione usługi seminarium pracując w formacji przez 4 lata.

Rok 1990 przyniósł pewne zmiany. O. A. Wielgus został wybrany na urząd Wiceprowincjała w Resistencia. Przeniósł się z La Plata do siedziby prowincjalatu. Bardzo przejął się odpowiedzialnością za powierzony mu urząd i starał się we wszystkim być bardzo argentyński. Marzył, aby w przyszłości, mając własne powołania, Argentyńczycy z misjonarzami z Polski prowadzili sami Wiceprowincję.

Śmierć

Po trzech latach sprawowania urzędu nastąpiły nowe wybory. Nie wszyscy Ojcowie ulegli fascynacji programowej O. Andrzeja. Dyskutowano nad nowymi koncepcjami pracy. Niemniej w październiku 1995 roku wybrano go ponownie na ten urząd. W Kapitułe wyborczej brał udział delegat z Polski, którego O. Wielgus z O. Baraniakiem odwieźli po jej zakończeniu samochodem do Boliwii.

Samochód prowadził O. Wielgus. Wracając z Tupiza (Boliwia), nie dostrzegł, że kończy się droga asfaltowa i zaczyna się objazd żwirowy - co jest tak częste w Argentynie - w wyniku czego samochód wpadł w poślizg i koziółkował. O. Andrzej zginął na miejscu. O. J. Baraniak miał złamany obojczyk i ogólne potłuczenia. Był to dzień 1 listopada 1995 roku.

Miejscowe gazety pisały: "Sacerdote de Villa San Martin murió en un accidente en Jujuy... Persa por la muerte del padre Andrés Wielgus".

Wiadomość o śmierci O. Andrzeja wstrząsnęła współbraćmi w Argentynie jak i w Polsce. Odszedł jeden z ojców, który mógł przez wiele lat pracować dla Kościoła i Zgromadzenia.

Wszyscy znający zdolność kierowania samochodem O. Wielgusa zawsze bali się o niego, gdyż poruszał się sprawniej wśród idei niż po drodze naznaczonej znakami i ograniczeniami. Miał wcześniej kilka wypadków, z których szczęśliwie ocalał. Tym razem na drodze w okolicy Corte Azul zginął.

W chwili śmierci miał 48 lat, w zgromadzeniu przeżył 29, a w kapłaństwie 23 lata. Współbracia pochowali go na cmentarzu w Villa Angela.

O. Bolesław Słota CSsR